

Jeżeli w polskich klubach nie ma warunków do wielkiego wyczynu, pora aby je stworzyć.

Igrzyska olimpijskie w Sydney, wcześniej w Nagano, wykazały, że struktury polskiego sportu wymagają generalnej przebudowy. To jest zadanie na lata i nie wykona go w pojedynkę żaden geniusz. Mogą to zrobić wspólnie wszystkie środowiska sportowe. Tylko z wiedzy i doświadczeń ludzi różnych dyscyplin może powstać sensowny pomysł na polski sport w nowym stuleciu. Takiego pomysłu ciągle nie ma.

Nie tędy droga.

Od jedenastu lat żyjemy w wolnym kraju, lecz dla polskiego sportu są to lata stracone. Nie wykonano w tym czasie ani jednego sensownego ruchu, który byłby choćby zawiązkiem reformy. W ciągu jedenastu lat przez UKFIT, UKFiS, PKOl i inne sportowe centrale przewinęła się niemal cała polityczna paleta szefów, a żaden nie posunął spraw do przodu. Prezesi oraz przewodniczący, z namaszczenia SLD, PSL, ROP czy AWS, skupiali się wyłącznie na tym, aby przetrwać. Był też jeden, który chciał wyrobić sobie nazwisko. Nie ma dobrych reformatorskich pomysłów. Podłączenie sportu pod Ministerstwo Edukacji Narodowej to dziwoląg. Zabieg ten nie tylko nie zreformuje, ale wprowadzi zamęt i biurokratyczną blokadę decyzji, nastąpi zatem rozmyślenie odpowiedzialności w stopniu dotychczas nieznanym. Już zresztą tak się dzieje. Natomiast sugestia PKOl, aby twardo wziąć za twarz

Struktury naszego sportu opierają się wciąż na fundamentach gospodarki planowej, centralnego sterowania, państwowego rozdzielnictwa oraz propagandy sukcesu. Krótko mówiąc - są reliktem ustroju, który się skończył. Tego nie da się utrzymać. I nie ma powodu aby to robić. Jednak, jak ostatnio słychać, władze, a konkretnie ludzie związani z PKOl, zamierzają postawić właśnie na ostrzejszy nadzór nad polskimi związkami sportowymi.

związki sportowe i sterować nimi ręcznie. To wielkie nieporozumienie. Pomijając statuty, które gwarantują związkom niezależność, nie ma żadnego powodu, aby uwerzywać w cudotwórcze możliwości PKOl oraz w Stanisława Stefana Paszczyka jako mesjasza polskiego sportu. Lubię Paszczyka, bo jest ambitny i pracowity. Nie akceptuję natomiast jego megalomanii, albowiem zaburza mu jasność widzenia, a zwłaszcza samoocenę. Przeciwnie to Paszczyk kierował planem przygotowań do Nagano, który okazał się kląpą. Paszczyk wykonał w PKOl kawałek konkretnej roboty, przekształcając lichą finansowo placówkę w firmę o dużych dochodach, które następnie rozdzielił między podmioty wykonawcze, i co? I to on jest teraz najbardziej niezadowolony z efektów. Krótko mówiąc nie tędy droga.

Awangarda kapitalizmu

Nie trzeba szczególnej wiedzy, wystarczą szeroko otwarte oczy, aby się zorientować, kto sobie najlepiej radzi w dzisiejszym sporcie wyczynowym. Są to ci, którzy widzą w nim swój interes. Zrozumieli, że sport to biznes, a przedmiotem kupna-sprzedaży jest dobrze zorganizowane, odpowiednio rozreklamowane widowisko albo pojedyncza gwiazda o określonej wartości rynkowej.

Kluby futbolu, koszykówki, żużlowe, siatkarskie i związek siatkówki, Czesław Lang ze swoim Tour de Pologne, Opoczno SA z konkursem skoku w wyż, ludzie od tenisa, ludzie od siatkówki plażowej, Artur Partyka, Robert Korzeniowski, czterystumetrowcy i sprinterzy w lekkiej atletyce, Mateusz Kusznierewicz, Roman Paszke, Karol Jabłoński w żeglarskim i cała liczna grupa indywidualnych sportowców, którzy szukają i znajdują własnych menedżerów i sponsorów, to awangarda kapitalizmu w polskim sporcie. Listę można by rozszerzać, gdyż ludzi aktywnych mamy w tej branży mnóstwo i stale

ich przybywa. To syndrom nowych czasów. Inna sprawa, że z tej aktywności liderów kapitalizmu nie wynika jeszcze wprost poprawa pozycji polskiego sportu na świecie. Oni już potrafili zarobić pieniądze, zorganizować widowisko, lecz poziom dyscyplin, w których działają, jest wciąż przeciętny w porównaniu ze światowym.

Propaganda a promocja.

W Polsce wciąż obowiązują stare definicje, według których sport odgrywa rolę propagandową, nie zaś promocyjną. Nie generuje zysków, lecz wyłącznie koszty. Nie wiem ile kosztuje utrzymanie urzędników sportu różnych szczebli - centralnych, wojewódzkich, powiatowych - tworzenie nowych urzędów, ale widzę, jak każdy, że efekty są mizerne, zatem kosztuje to za dużo. Na zyski ze sportu nie można także patrzeć przez pryzmat karier politycznych różnych panów, a tak to właśnie bywa. Kolega partyjny, który trzyma w rękę sport lub ważny jego odcinek, pomaga, koledze partyjnemu,

który siedzi w polityce, i potrzebne jest mu pokazanie się przy dużej imprezie sportowej, ewentualnie zabłyśnięcie światłem odbitym sportowego sukcesu.

Jeżeli państwo inwestuje w imprezę sportową, niech to nawet będzie kolejna Uniwersjada Zimowa - nawiasem mówiąc, inwestycja niefortunna, która nam tak przybliży igrzyska jak czarny wąs Adama Bachledy Curusia wejście do Unii Europejskiej - ma mieć z tego zysk, bliższy lub dalszy, ale pewny. Impreza ma promować kraj, dzięki temu, że jest dobrze i profesjonalnie zorganizowana.

warunkiem, że w klubach są ludzie, którzy potrafią pracować. Tylko zdolny trener jest w stanie skupić wokół siebie zdolnych zawodników. Tego nie załatwi się żadnym okólnikiem z Warszawy. Ktoś powie, że w klubach nie ma warunków do robienia światowego sportu, że boiska zarastają trawą, hale się wałają, trybuny niszczyją a kluby padają z braku funduszy, trenerzy zmieniają zawód, bo mają rodziny i muszą je wyżywić. To prawda, i nawet wiadomo, dlaczego tak jest. Doprowadzili do tego biurokraci z Warszawy w ciągu trzech ostatnich dekad, wznosząc piramidę struktur tyleż sztywnych, co niewydolnych. Spartakiady młodzieży, olimpiady młodzieży, szkoły mistrzostwa sportowego, związki związków itd., itp. W efekcie powstała konstrukcja fasadowa pochłaniająca fundusze, które powinny zasilać sport.

Swobodna inicjatywa.

Jeżeli w polskich klubach nie ma dziś warunków do wielkiego wyczynu, pora, aby je stworzyć. Są na to pieniądze w budżecie sportu. Sposób doinwestowania klubów - tak bazy szkoleniowej, jak i treningu - to problem techniczny. W klub, który dostarcza olimpijczyków, medalistów mistrzostw świata opłaca się zainwestować publiczne pieniądze, bo spełnia on publiczne cele. PKOl, który tak zgrabnie załatwia fundusze, może się włączyć w ten czyn naprawy. A rolą związków, które są bliżej klubów niż jakakolwiek centrala w stolicy, powinna być merytoryczna ocena ryzyka, stopnia opłacalności inwestycji oraz stała kontrola wykorzystywania funduszy. To struktury trzeba dopasować do życia a nie na odwrót. Im mniej urzędników i biur na drodze przepływu publicznych pieniędzy do sportu, tym dla sportu lepiej. Im większe inwestowanie w producentów, tym mniejsza frustracja konsumentów sportu, czyli obywateli. Im mniej władzy dla centrali, tym swobodniejsza inicjatywa. Polski sport wkracza w nowe stulecie z garbem starej struktury. Najwyższy czas zrzucić ten garb, lecz przedtem trzeba pogadać. Jest o czym i jest z kim. Wbrew temu co sądzi centrala, nie brakuje w sporcie ludzi z wiedzą i doświadczeniem. To jest realny kapitał, którego nie wolno arogancko roztrwonić.

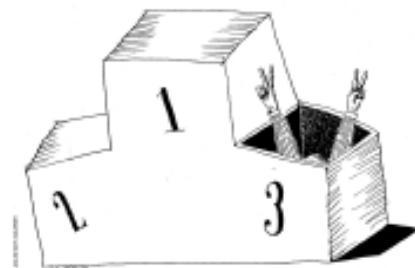
M. Józwick - „Rzeczpospolita”

Prywatne gry i zabawy.

Z błędnego odczytania funkcji sportu wynikają określone konsekwencje. Przede wszystkim skłonność do centralnego sterowania całym procesem sportowym, porzucając od wtrącania się w pracę trenerów, aż po wtrącanie się w krój spodenek, jakie noszą zawodnicy, oraz w to, kto je uszyje. Centralne rozdzielnictwo środków budżetowych, także pozyskanych od sponsorów odbywa się według wladzimyś decydenta, który kieruje się dwiema przesłankami - albo wie lepiej, albo inwestuje we własną karierę, dając więcej pieniędzy tym, którzy go znowu wybiorą na następną jałową kadencję. Mniej daje tym, na których nie liczy. Tak jest nie tylko w Warszawie, ale i w terenie, w wojewódzkich federacjach, w związkach sportowych itp. Pod pozorem, że państwo trzyma rękę na publicznych pieniądzach dla sportu, odbywają się zatem prywatne gry i zabawy, które sportowi bynajmniej nie służą, gdyż nie taki jest ich cel. Stąd już bardzo niedaleko do stosowania zasady kija i marchewki. Do przywiązania do własnych koncepcji, lekceważenia doświadczeń innych. W efekcie mamy pełne oderwanie tzw. klasy rządzącej sportem od zmieniających się realiów życia. Mamy też biurokratyczny dogmatyzm uprawiany na koszt podatników.

Konstrukcja fasadowa.

Sportem wyczynowym nie da się skutecznie sterować z żadnej centrali. Najlepszym, najbardziej efektywnym producentem sportu są i mogą być tylko kluby sportowe. W nich są trenerzy, zawodnicy i to tam powinny się znaleźć pieniądze na sport. Również pieniądze z budżetu, ale dawane nie na piękne oczy, ale pod takim



Redaktor Marek Józwick specjalistą od tenisa stołowego nie jest, ale poruszył temat, który również dotyczy naszej dyscypliny. Nie jest bowiem tajemnicą, że sytuacja wielu polskich klubów posiadających również sekcję tenisa stołowego jest na krawędzi bankructwa. Dotyczy to również wielu klubów zasłużonych dla dyscypliny, o bogatym doświadczeniu, takich, które środków finansowych nie marnowały. Coraz gorsza sytuacja pracodawców powoduje, że doświadczeni trenerzy odchodzą z zawodu lub pracują w sporcie dodatkowo, kierując swoje zainteresowania na dziedzinę przynoszącą większe dochody na utrzymanie rodziny. Ci, co zostają, często zmieniają kluby w poszukiwaniu lepszych warunków pracy, ale i te po pewnym czasie również okazują się złudne. Zanim motywacja do podnoszenia kwalifikacji. Szkoli się co prawda nauczycieli dla potrzeb sekcji w UKS-ach, ale tam wyczyn kończy się na poziomie kadeta. Szkoły z reguły nie są zainteresowane wysokim wyczynem. Odkryte w UKS-ach talenty gdzieś muszą później podnosić swoje umiejętności. Na pewno nie dokonają tego w klubie nikomu niepotrzebnym, którego był jest niepewny.

Do tematu powrócimy w następnym numerze. Mamy nadzieję, że na bazie listów od zainteresowanych czytelników.

Red